Rok IV.

Nr. 5. Nr. 5.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal czyli 1 złr. 50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po $1\frac{1}{2}$ sgr. od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 31 stycznia 1874.

Ulica Młyńska Nr. 33

Kilka ułamków
z Rzutu oka na dzieje sztuki lekarskiej w Indjach starożytnych.

Opracował
Dr. Wacław Zaremba.

(Ciąg dalszy).

Mieszkając w żyznych i podzwrotnikową pięknością uposażonych okolicach Gangesu, mędrcy indyjscy czerpali materjał do poematów i powieści z własnych dziejów — opierając się na wrodzonéj im twórczéj sile umysłowéj, uzbierali ogromny i podziwienia godny zapas powieści i bajek osnutych na rodzinnych podaniach i przywiązanych treścią i formą do rodzinnej ziemi. Za grzech poczytywali szukanie czegośkolwiek po za granicami bogatego swego kraju, osłonionego, wedle ich mniemania, szczególną opieką bóstwa a przez to samo odrzucali i pogardzali wszelkiemi płodami utworu obcego.

Th. A. Wise w dziele swém: „Review of the history of medicine“ we wstępie porównywa postęp naukowy indyjski w dawnych wiekach, z postępem u innych cywilizowanych ludów starożytnych, a jakkolwiek porównanie to może nie jest wolném od przesady na korzyść Indjan, to przecież warto, abyśmy je przynajmniéj w grubszych zarysach tu powtórzyli, jako opierające się na orzeczeniach znakomitych badaczy historji indyjskiéj. Dr. Wise przytaczając zdanie Williama Jones'a powiada, że Indjanie w geometrji, arytmetyce i astronomji przewyższali Ptolomeusza, muzyką Archimedesa, teologją Platona, a w logice wyżéj stali aniżeli Arystoteles. Daléj przypuszcza tenże sam autor, że Indjanie w algebrze daleko daléj zaszli aniżeli Grecy. Twierdzenie swe opiera na porównaniu wiadomości algebraicznych za czasów Diophantesa, z mniéj więcéj współczesnym Arya-Bhattu u Indjan, który z większą starannością naukę tę traktował aniżeli Diophantes, szczególniéj w rozwięzywaniu równań zawierających kilka nieznajomych — w równaniach pierwszego i drugiego stopnia. Dr. Wise przychodzi zatém do konkluzji, że twierdzenie, jakoby Indjanie u Greków mieli się w wiadomościach arytmetyki i geometrji zapożyczać, jest bardzo wątpliwém. Z tém samém twierdzeniem spotykamy się u niego pod względem sztuki lekarskiéj[1]).

Według powszechnego mniemania Grecy pierwsi byli — a na ich czele ojciec medycyny, a jak go Saraceni egipscy nazywają „król zdrowia“, Hippokrates, którzy sztukę lekarską zaczęli traktować jako wiedzę, jako naukę. — Wise zaprzecza temu, sądząc, że dopiéro za pośrednictwem Egipcjan[2]) wiedza lekarska do Grecji się dostała.

W czasach przedhippokratesowych medycyna cała trakowaną była więcéj tradycyjnie — zbierano fakta jedne po drugich — do czego się zarówno myślący kapłan, lekarz lub chirurg zręczny, a wreszcie i każda

[1]) Porównaj: Dr. Reyle „An Essay on the antiquity of Hindoo medicine“, pag. 109 et seqn.

[2]) A more extended knowledge of history proves that this is not correct — their own most ancient records proving that they obtained much of their knowledge from a mysterious nation of the east, among whom the art and the sciences were successfully cultivated and whose great progress in medicine attracted attention and was communicated through the Egyptian priesthood, to the philosophers of Greece. Dr. Th. Wise „Review of the History of medicine“, vol. I, pag. XLIX.

matka rodziny przyczyniała. To było pierwsze źródło, z którego Hippokrates do budowy całego swego systemu materjał czerpał. Dalszém źródłem dla Hippokratesa były tablice i kroniki pisywane w miejscach, do których się chorzy po radę i pomoc schodzili; takiemi miejscami, jak każdemu wiadomo, były świątynie, n. p. na wyspie Kos. — Pomniki te sztuki lekarskiéj prawdopodobnie nie miały wielkiéj wartości, bo pisane były ręką ludzi, którzy o sztuce lekarskiéj żadnego, albo bardzo małe wyobrażenie mieli. — Trzeciém źródłem wreszcie — i to najwięcéj wartości mającém — była genjuszem jego opromieniona obserwacja własna, połączona z rozlicznemi podróżami. Hippokrates w życiu swojém, które właściwie było jednem i bezustannném studjum, dwanaście lat poświęcił podróżom. W podróżach tych zwiedził ziemie greckie, zbierał zapiski kapłanów w świątyniach Eskulapiusza i Diany w Efezie. Galen pisze, że Hippokrates odwiedzał często Smyrnę w Azji Mniejszéj — a Merkurial, że podróże jego sięgały Libji w Afryce i Scytji w Azji. Cóż mogło spowodować — zapytuje się Wise — Hippokratesa do zwiedzania owych dalekich, północnych krain, jeżeli nie sława oświeconego i ze sztuką lekarską obznajmionego narodu, zamieszkującego Indo-Scytyjskie ziemie? W północnych częściach Hindostanu prawdopodobnie uczył się zatém od mędrców indyjskich i studjował ich lekarskie kroniki i zapiski. Twierdzenie to popiera Dr. Wise starożytnością dzieł lekarskich Indjan, jak Ayur-Weda, które jeszcze w przedhippokratesowych czasach istniały. Rozumowanie to Dr. Wise ma za sobą poparcie Colebrooka i profesora Wilsona, dwóch nowych archeologów angielskich, którzy przyjęli, że systematycznie ułożone dzieła lekarskie u Indjan na 1000 do 800 lat przed Chrystusem napisane były[3]). Wspomnieć nam jeszcze wypada jeden dowód Dr. Wise, że Hippokrates od Indjan miał swe wiadomości — a nim jest cytowanie wielu nazw lekarskich w Materia medica Hippokratesa, które dowodnie wykazują, że tylko z Indji użytek ich był do Grecji przeniesiony i tak n. p. Sesamum Indicum, Hyperanthera morunga, cassia, cynamon, imbier, pieprz, calamus aromaticus i wiele innych, które wszystkie ojczyznę swoją w Indjach mają — a których użytek lekarski bez wątpienia wpierw na własnéj ziemi wypróbowanym być musiał, zanim do oddaleńszych krajów mógł się przedostać[4]).

Podobne zupełnie orzeczenie wydaje Dr. Wise o Arabach, Egipcjanach i Chińczykach. Ci ostatni, jak to nowsze badania wykazały, weszli rychło w styczność z Indjanami przez posłów i ambasadorów — głównie jednakże pod względem scientyficznym skorzystali, gdy oświeceni kapłani Budhy częścią z własnéj woli, częścią zmuszeni, przeszli z Indji do Chin zabierając z sobą cenne klasyczne rękopisma indyjskie z rozmaitych dziedzin nauki a w szczególe także i ze sztuki lekarskiéj.

(Ciąg dalszy nastąpi).

[3]) Dr. H. Haeser w swéj „Geschichte der Medicin“ nie bardzo temu daje wiarę. Porównaj: Tamże § 4, pag. 3.

[4]) Porównaj: Dr. Royle „An Essay on the antiquity of Hindoo medicine.“

MÓWNICTWO.

Najnowsza z umiejętności historji naturalnéj

przez

Władysława hr. Chotomskiego.

(Ciąg dalszy.)

6. Czy mowa ludzka jest tworem — czy utworem?

Nie dawno temu panowało powszechne mniemanie, że ludzie sami sobie wytworzyli mowę za wspólną umową i namową. Takiego mylnego wyobrażenia jeszcze dziś ogół się trzyma, — a nawet niektóre rządy sądzą, że mowę zmienić, nakazać lub zakazać ją, rozprzestrzenić jéj użycie albo wytępić ją, można dowolnie i bezkarnie. Byłoby to rzeczą bardzo możliwą, — gdyby mowa była utworem a nie tworem.

W umiejętnościach przyjmujemy pięć gospodarstw czyli tak zwanych królestw, t. j. gospodarstwo 1) syderalne czyli ciał niebieskich, do których i kula ziemska jako planeta należy; 2) kopalinowe czyli mineralne; 3) roślinne; 4) zwierzęce i 5) ludzkie. Piętném pierwszego działu jest, że ciała te nie są przystępne ludziom, oprócz ziemi, na któréj żyjemy jako pasożyty. Umiejętność zajmującą się niemi nazywamy astronomją, Drugie gospodarstwo jest właściwie tylko okruchem pierwszego. Piętném jego jest zupełny brak ustrojowego życia czyli martwota. Geologja i mineralogja zajmują się badaniem tych ciał. Dział trzeci roślinny stanowią ciała z życiem ustrojowém, ale bez ruchu. Ten ruch dowolny uczyniłby z rośliny ciało czwartego działu: t. j. zwierzę. Dział zwierzęcy ma życie ustrojowe i ruch dowolny jako znamiona i tak się opiera na roślinnym, jak roślinny na dziale kopalinowym. Następnie piąty i ostatni: dział ludzki ma za podstawę gospodarstwo zwierzęce, a za piętno mowę. Zwierzę, któreby samo z siebie przemówiło — stałoby się człowiekiem. Piętna te: czysta martwota (kopalina), martwota z ustrojem żywotnym (roślina), martwota z ustrojem żywotnym i ruchem dowolnym (zwierzę) a nareszcie martwota z ustrojem żywotnym, ruchem dowolnym i mową (człowiek) uchylają się prawom woli i działania ludzkiego — są to piętna: przyrodzone. Jeżeli o ostatniém piętnie, t. j. mowie, są powątpiewania, to wypływają one z mylnego myślenia, — z braku logiki tylko, — z pozoru branego za rzeczywistość.

Człowiek nie zdoła wymyślić albo wynaleźć innego dźwięku nad te, które są znane w naturze. Dźwięk zaś jest podstawą wyrazów — czyli lepiéj jeszcze, bo szczegółowiéj: słów*). Każdy dźwięk mowy ludzkiéj budzi w naszym umyśle pewne uczucie lub wrażenie niezawisłe od naszéj woli ani wiedzy. Na przykład dźwięk *pr* wywołuje w nas mimowiedne i mimowolne wyobrażenie ruchu, jak to objaśnią słowa: pruć, prać, prąd, pręt, przód, promień, a nawet i słoworód tych słów sam wykrzyknik: *pr!* znaczący wstrzymanie ruchu. Spółgłoski te *pr* są duchem wyrazów przytoczonych; samogłoski są niejako ciałem, na którém się myśl, uczucie, wyobrażenie opiera i uwydatnia. Bez samogłosek trudnoby dostrzedz ich odcieni. Dodatkowe spółgłoski *d*, *t*, *ć*, *m* i *ń* są znowu takiéj saméj wartości jak i *pr*, t. j. w tych duchach, że tak powiemy, słów — są znowu inne znaczenia. I one są tak zwanemi: słoworodami (źle: „źródłosłowami“). Nie ma siły ludzkiéj, którąby Polakowi przy tém brzmieniu *pr*, którego

*) „Wyrazy“ mogą być w muzyce, malarstwie, rzeźbiarstwie, budownictwie i innych mowach, gdy słowo nadaje pojęcie jakieś tylko w mowie ustnéj.

każde niemowlę polskie zna sens, zanim mu je zdołamy objaśnić i wytłómaczyć; nie ma siły ludzkiéj, powtarzamy, ażeby temu dźwiękowi mogła nadać w narodzie polskim inne znaczenie, inny sens nad to przyrodzone pojęcie ruchu. Z polskiemi końmi na pewno nie było żadnéj umowy, żadnego porozumienia się, a jednak te zwierzęta przy wykrzykniku *pr!* zastanawiają w Polsce swój ruch. Jeżelić zwierzęta mają to samo poczucie sensu i znaczenia wyrazów co i ludzie, nie może to być żadną miarą skutkiem wspólnéj jakiéjś ugody, — bo my nie znamy mowy zwierząt, nie opartéj na słowach jak nasza, chociaż mają najniezawodniéj swoją mowę, polegającą na nieznanych nam jeszcze warunkach. Bez téj ugody pojmują nas psy, koty i inne stworzenia zwierzęce, gdy słowami do nich przemawiamy. Zresztą wiadomém jest, jak trudno umówić się na cokolwiekbądź pojedyńczego nawet w rodzinie najzgodniejszéj, ażeby się wszyscy jak najzupełniéj na to zgodzili, a cóż dopiéro na kilkadziesiąt tysięcy wyrazów pomiędzy obcymi, i to w miljonowych liczbach osób, — i co więcéj, nietylko w jednym narodzie, bo we wielu innych jak n. p. z tym dźwiękiem *pr* we wszystkich pochodnych ze sanskrytu, a zatém w narodach indo-europejskiéj mowy.

O ile zdołają chęci, nakazy lub gwałt wywrzeć wpływu na błahe pozorowo zmiany w słowach, wystarczą z tysiącznych wzięte następne przykłady:

Wiadomo nam wszystkim, jaki śmiech wywołał lat temu dwa poseł Erazm Wolański na sejmie lwowskim, gdy chciał przekształcić tylko wyraz autonomja i przez drobny dodatek nadać mu inne znaczenie, to jest przeciwne autonomji. Dźwięk *de* w języku francuzkim nadaje częstokroć pojęcie podobne naszemu *roz*, jakby n. p. łożyć a rozłożyć, pakować a rozpakować. Ztąd sądząc, nieuczony we filologji poseł chciał powiedzieć, że rząd zamiast nadawać Galicji samodzielność (autonomję), nadaje jéj roz-samodzielność, t. j. coś niby rozburzającego samorząd i wyraził się: „detonomja.“ Przez opuszczenie z greckiego wyrazu „autonomja“ — zgłoski *au*, odebrał najprzód znaczenie temu wyrazowi złożonemu z dwóch innych: autos (sam) i nomos *νόμος*, *νέμειν* = przydzielać, jakby to zrobił w polskiém i zamiast samodzielność rzekł modzielność, a do tego dodał zamiast polskiego roz, niemieckie „auseinander.“ Detonomja odpowiadałaby tedy wyrazowi niemożliwemu: auseinandermodzielność; bo we wyrazach złożonych trzeba się trzymać jednego języka tylko, a jak tu wypadało, samego greckiego, i nie byłoby tego śmiechu, gdyby był rzekł: anautonomja. „Auseinandermodzielności“ żadna ugoda, prośba, chęć, namowa i umowa nie wprowadzi w życie, tak samo jak detonomji. Taka to jest nietykalność mowy — i takie zamięszanie sprawia w niéj ludzkich zmian dowolność. Jak szanownemu posłowi lwowskiemu, nielepiéj się udawało cesarzom. Na soborze w Kostnicy (Constanz), gdzie spalono na stosie Jana Huss, najzacniejszego i najuczeńszego męża swego czasu, — cesarz niemiecki Zygmunt rzekł po łacinie: „Starajcie się ojcowie ogniem i mieczem wytępić schyzmę hussytów“ (schismam). Na to powstał mnich i poprawił cesarza wołając: „Najjaśniejszy królu! schyzmę nie schyzm.“ Cesarz, taki filolog jak nasz poseł, odparł: „„Kto ci to powiedział?““ — „Alexander Gallus“ odrzekł mnich. — „„A któżto ten Gallus?““ zapytał Zygmunt. — „To mnich“, odpowiedział zapytany. — „„Eh cóż!... Jestem królem rzymskim i tuszę sobie, że moje słowo cesarskie tyle warte, co słowo mnicha!““ — Dworzanie podtrzymywali stronę cesarza; — usiłowano wprowadzić tę zmianę w szkołach. Daremnie! Cesarz wraz z dworem swym nie mógł zmienić końcówki u jednego wyrazu!...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Coś niby miłość.

Chcesz wierszyka? — I o czém? —
O uczuciu uroczém —
O miłości zaśpiewać ci muszę.
Ty mnie słuchaj dzieweczko,
I z batystu chusteczką
Łzy ocieraj, — jeżeli cię wzruszę.

Było dwoje: on — ona —
Nie mąż, ani nie żona.
I przymknięte w pokoju drzwi były; —
Ona lekka i płocha,
On na tego, co kocha,
Za poważny i nieco otyły.

Lecz był czuły — a przytém
Patrzał na nią z zachwytem,
Jak w anielskie, urocze widziadło;
Czekał długie godziny
Na spojrzenie dziewczyny —
A dziewczyna patrzała — w zwierciadło.

Potém drżący, nieśmiały
Dotknął rączki jéj małéj, —
Pocałować chciał rączkę w pokorze; —
Lecz ją szybko cofnęła,
Jeszcze z gniewem szepnęła:
„Co pan robisz? zobaczyć kto może.“

Więc się musiał zrzec ręki;
Ale prosił panienki,
By choć rzekła: czy kocha go ona? —
Czekał drżący słóweczka — — —
Aż otwarła usteczka — —
A otwarłszy — ziewnęła znudzona.

Więc się zerwał ze stołka,
I porzucił aniołka,
I porzucił ną zawsze bezmała.
Że odchodził tak gniewnie
Miałby burę zapewnie,
Gdyby nie to, że ona — drzymała.

I tak cicho, cichutko
Romans skończył się krótko
Bez wymówek, bez skarg i bez listów.
Cóż nie płaczesz mi pani?
Choć dla niego, nie dla niéj
Otrzyj oczki chusteczką z batystów! —

Michał Bałucki.

HELENA.

Powieść Turgenjewa.

(Ciąg dalszy.)

Dawano operę Verdi'ego, w gruncie dość płytką która jednak obiegła szczęśliwie wszystkie europejskie sceny, „Traviatę.“ Sezon teatralny kończył się w Wenecji, a co jeszcze było tam śpiewaków, to nie przechodziło granic miernoty; każdy krzyczał jak mógł, o ile mu sił stało. Rolę Violetty powierzono śpiewaczce bez żadnego rozgłosu, i, wnosząc z chłodnego zachowania się publiczności, mimo, że miała talent, nie lubiono jéj. Była to młoda, nieosobliwie piękna, czarnooka dziewczyna, z głosem prawie już złamanym. Dość naiwna, była ona ubrana jaskrawo i niestósownie: czerwona siatka okrywała jéj włosy, suknia z niebieskiego wypłowiałego atłasu ściskała jéj piersi, grube, białe rękawiczki dochodziły aż do spiczastego łokcia; i zkądże bo téż miała, ona, córka jakiegoś pasterza z Bergamo, wiedzieć jak się ubiera paryzka kameljowa dama? Nie miała téż żadnego obycia ze sceną; jednakże w jéj grze wiele było prawdy i prostoty a jéj śpiew nosił cechę téj szczególniejszéj namiętności, intonacji i rytmu, którą tylko u Włochów zdarza nam się napotykać. Helena i Insarow siedzieli obok siebie w ciemnéj loży tuż przy scenie; wesołe usposobienie, które ich opanowało w akademji delle belle arti nie opuściło ich dotąd. Kiedy ojciec nieszczęśliwego młodzieńca, który popadł w sieci uwodzicielki, ukazuje się na scenie w żółtym fraku i siwéj peruce, bynajmniéj nie artystycznie potarganéj i wykrzywiając usta z góry już na wygwizdanie przygotowany, naprzód już ku publice wysyła głuche tremolando, omało, że oboje nie wybuchnęli głośnym śmiechem... natomiast gra Violetty zrobiła na nich wrażenie.

— Dla téj biednéj dziewczyny nie ma publiczność oklasków, rzekła Helena, — a przecież ja ją tysiąc razy wolę, niż jaką wysoce z siebie zadowolnioną drugorzędną sławę, która po to wyłącznie wyłamuje sobie członki i twarz wykrzywia, aby wywołać efekt. Ta zdaje się swą rolę traktować z poważnego stanowiska; patrz, ona wcale nie zwraca uwagi na publiczność.

Insarow przechylił się przez poręcz loży i popatrzał na Violettę uważnie.

— Prawda, odpowiedział, ona to serjo pojmuje, tu czuć śmierć.

Helena umilkła.

Akt trzeci się rozpoczął. Kortyna się podniosła... Helena zadrżała zobaczywszy łóżko przysłonione firankami, otaczające je flaszki z lekarstwami i lampę przyćmioną... Niedawno przeżyte chwile stanęły jéj przed oczy... „A przyszłość? A teraźniejszość?“ przebiegło jéj przez głowę. Jakby w odpowiedzi na sztuczny kaszel artystki, ozwał się z loży suchy, stłumiony, nie sztuczny jednak kaszel Insarowa... Helena objęła go niespokojném, ukradkowém spojrzeniem, ale natychmiast przybrała znów spokojny wyraz twarzy; Insarow ją pojął, uśmiechnął się i z cicha począł towarzyszyć spiewowi.

Wkrótce przecież ustał. Gra Violetty była coraz lepszą, coraz swobodniejszą. Odrzuciła wszystko co jéj było obcém, zbyteczném i odnalazła siebie samą; rzadkie, najwyższe szczęście dla artysty! Jednym krokiem przestąpiła ową granicę, któréj oznaczyć niepodobna, a po za którą króluje piękno. Publiczność była wzruszoną, zdumioną; nie spuszczono oka. Nie ładna dziewczyna z głosem złamanym poczęła oddziaływać na słuchaczy, poczęła ich porywać. Ale i głos śpiewaczki nie brzmiał teraz już jak złamany; były w nim siła i ciepło. „Alfredo“ wchodzi; okrzyk radości Violetty wywołał prawie ową burzę oklasków, którą zowią fanatismo a obok któréj wszelkie nasze północne oklaski i wywoływania niczém nie są... W chwilkę późniéj publiczność zatamowała znów oddech w piersi. Rozpoczął się duet, ta najlepsza partja opery, duet, w którym udało się kompozytorowi wyrazić cały ból lekkomyślnie roztrwonionych sił młodości, i całą walkę ostatnią rozpacznéj a bezsilnéj miłości. Uniesiona burzą jednogłośnych oklasków, ze łzami artystycznéj radości i rzeczywistego cierpienia w oczach, śpiewaczka dała się porwać prądowi, który wywołała; twarz jéj się rozjaśniła i w obec zbliżającego się straszliwego cienia śmierci wybiegły z jéj piersi z taką błagalną mocą słowa: „Lascia mi vivere... morir si giovane“ (pozwólcie mi żyć... umierać tak młodo!), że cały teatr zadrżał od grzmiących oklasków i pełnych zapału okrzyków.

Helenę przebiegło lodowe zimno. Jéj ręka mimowolnie szukała ręki Insarowa, znalazła ją i uścisnęła silnie. On odwzajemnił uścisk: ale ani on nie patrzał na nią, ani ona na niego. Uścisk ten był różnym od tego, który zamienili z sobą przed kilku godzinami w gondoli.

Znów przez canal grande powrócili do hotelu. Nastała już noc, noc cicha, łagodna a jasna. Też same pałace przesuwały się przed ich oczami, ale teraz wydawały im się odmiennie; te, które oświetlał księżyc, połyskiwały białawo złotym blaskiem, w którym zlewały się szczegóły ornamentów i zarysy nisz u okien i balkonów, podczas gdy u innych, otulonych lekkim cieniem, tém wyraźniéj one występowały. Gondole o czerwonawych małych światełkach zdały się ciszéj jeszcze przesuwać; tajemniczéj jakoś wznosiły się i opadały ich wiosła w srebrzystym połysku rozpruwanych fal, od czasu do czasu tylko przerywał ciszę krótki stłumiony okrzyk gondoljerów, żadnych innych głosów nie usłyszałeś. Hotel, który zamieszkiwali Insarow i Helena, znajdował się na riva degli Schiavoni; nieco prędzéj opuścili gondolę i przeszli się kilkokrotnie po placu Św. Marka, pod kolumnadą, którą przed kawiarniami zalegała ogromna moc ludzi. Przebiegać obce miasto, wśród tłumów nieznanych nam ludzi z ukochaną obok siebie istotą, dziwną to sprawia przyjemność; wszystko wydaje nam się piękném, uwagi godném, wszystkim życzymy spokoju, dobra, szczęścia, które nas w téj chwili otacza. Helena przecież nie mogła się oddać temu uczuciu beztroski: jéj serce wstrząśnione ostatniemi wrażeniami, nie mogło dotąd odzyskać spokoju. Przechodząc obok pałacu dożów, milcząco wskazał Insarow paszcze austrjackich armat, które się wychylały z po za dolnych arkad i głębiéj zacisnął na czoło kapelusz. Czuł się zmęczonym i... rzuciwszy ostatnie spojrzenie na kościół Św. Marka, jego kopuły, których ołowiane pokrycia w księżycowém świetle połyskiwały blaskiem fosforu, powrócili oboje do hotelu.

Okna ich pokoju wychodziły na tę część wielkiéj laguny, która poczyna się od Riva degli Schiavoni. Prawie na przeciw ich hotelu sterczały ostre wieże San Giorgio; na prawo błyszczała wysoko w przestrzeni złota Dogany kula... i dumnie wznosiła czoło strojna jak narzeczona wieża kościoła del Redentore, arcydzieło Palladia; na lewo czarnemi konturami rysował się tłum masztów, kół i kominów parowców; tu i owdzie wisiały jak olbrzymie skrzydła na wpół zwinięte żagle, ledwie poruszane wiatrem. Insarow usiadł przy oknie, ale nie długo pozwoliła mu tam pozostać Helena; gorączka i zupełne wyczerpanie opanowały go wkrótce; położył się w łóżko a żona poczekawszy aż usnął, powróciła po

cichu do okna. Jakże cichą, jak przyjemną była ta noc, jaki urok roztaczało to błękitnawe powietrze; w obec téj nocy czarownéj musiały zcichnąć i zniknąć zupełnie wszelkie cierpienia — musiały umilknąć pod tém niebem, noszącém na sobie piętno istnéj świętości! — O Boże! myślała Helena, — dla czegóż jest śmierć, rozłączenie, czemuż są na świecie choroby, łzy? albo téż po co ta piękność niebiańska, ta uszczęśliwiająca nas ufność, po co ta uspokajająca wiara w pewną przystań, w opiekę, co nas nie omyli, w nieśmiertelną pomoc? Czemuż to niebo uśmiechnione i błogosławiące, na co ta ziemia szczęśliwa i spokojna? Czyżby wszystko to było w nas tylko, a po za nami w świecie zewnętrznym czyżby miało być tylko zimno wieczne i wieczne milczenie? Czyliż my stoimy samotni?... zupełnie osamotnieni... a tam w około, w tych wszystkich niezgłębionych przestrzeniach i głębiach... wszystko, wszystko miało nam być obcém? Więc po cóż to pragnienie modlitwy, po co ta radość, jaką nam ona daje? „Morir si giovane...“ zabrzmiało jéj nagle w uszach. Czyżby nic nie można wybłagać, odwrócić, uratować... O Boże, mój Boże! czyż nie mam wierzyć w cud? Głowę oparła na załamanych dłoniach. — Dość? szepnęła. — Czyżby istotnie miało być już dosyć! Wszak byłam szczęśliwą, nie kilka chwil tylko, nie godzin kilka, nie dnie nawet... nie, byłam nią przez całe tygodnie. I jakiémż prawem? I zadrżała w obec własnego swego szczęścia. — Jeśli jednak inaczéj być nie może? pomyślała. — Jeśli nic na tym świecie nie może być darmo? To było niebo... a myśmy ziemskie stworzenia tylko, ludzie, biedni, grzeszni ludzie. Morir si giovane... Precz te straszne widma! Nie dla mnie tylko on żyć musi!

— A jednak gdyby... to było karą, myślała daléj, — gdybyśmy teraz mieli odpokutować do końca za naszą winę? Moje sumienie milczało a i dziś tak samo milczy, jestże to jednak dowodem niewinności? O Boże, czyliż tak bardzo zawiniliśmy! Czyliżbyś Ty Panie, Ty, który stworzyłeś tę noc tak piękną, to niebo, chciał nas karać za to, żeśmy się kochali. A jeśli jest tak istotnie, jeśli jam winna, jeśli on winien, dodała z nagłém uniesieniem, — to daj mu, daj nam obojgu, o Boże, przynajmniéj śmierć na polu chwały... tam, na jego ojczystéj ziemi daj nam umierać, nie tu, nie w tym dusznym pokoju.

— Ale ta boleść biednéj, osamotnionéj matki? rzuciła sobie pytanie i nie znalazła na nie odpowiedzi. Helena nie wiedziała o tém, że szczęście jednych opiera się na drugich nieszczęściu, że ich korzyść, że zadowolnienie jak statua piedestału potrzebuje nieodzownie straty i boleści innych. „Rendicz!“ szepnął przez sen Insarow.

Helena przystąpiła na palcach do jego łóżka, pochyliła się, otarła mu pot z czoła; Insarow usnął znów spokojnie. Ponownie przystąpiła do okna i zatonęła w myślach. Próbowała się uspokoić, przekonać siebie, że nie było powodu obawy, zaczęła nawet wstydzić się swego braku odwagi i wiary. — Gdzież to niebezpieczeństwo, czyż mu nie lepiéj, szepnęła. — Gdyby nie ten teatr, czyżby mi były przyszły wszystkie te myśli do głowy. W téj saméj chwili po nad wodą wzniosła się biała mewa; rybak jaki spłoszył ją zapewne, krążyła przerażona w około jakby szukając miejsca bezpiecznego przytułku. — Jeśli tu spuści się ta mewa, pomyślała Helena, — to będzie dobrą dla mnie wróżbą... Mewa zakreśliła krąg w jedném miejscu, rozpięła skrzydła i jakby zraniona z żałosnym krzykiem znikła po za gromadą okrętów. Helena zadrżała i zaraz potém zawstydziła się swego wzruszenia; w ubraniu rzuciła się na łóżko i usnęła.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Koleżeńskie uwagi dla użytku Szanownej Redakcji Przeglądu Lwowskiego*)

i temuż co do toku podobnych pism.

Psuć, czy drażnić, czy plugawić
— to nie czyny — męża!
Polne kwiaty.

Daremniebyśmy szukali w innych narodach téj ogólnéj czci, jaką sobie u nas od wieków wyrobiło duchowieństwo katolickie. U Polaka, czy on muzułmanin, ormianin, żyd, kalwin czy prawosławny — co do religji — wyrazy: „kapłan“, „duchowny“, „xiądz katolicki“ przywodzą na myśl takie osobistości, jakimi byli: Tomicki, Skarga, Woronicz, Staszyc, Wolicki, Antoniewicz, dopiéro co zgasły prałat gnieźnieński Jan Zienkiewicz, lub z żyjących n. p. krakowski kanonik Scypjon... Godność charakteru, powaga wyrosła na czci, surowsza sprawiedliwość względem siebie niżeli względem bliźnich, co do ich czynów i myśli, sumienność we wykonywaniu swych obowiązków, Chrystusowa pobłażliwość dla bliźnich odmiennych zdań, przy jeszcze więcéj ujmującéj prostocie i pokorze ducha, niżeli ich głęboka wiedza, — te cnoty czyniły i czynią z takich mężów nietylko filary, ale i ozdoby kościoła katolickiego w Polsce. Może więcéj niżeli się pozorowo zdaje dla tego, niż dla innych powodów, — bo najmniéj dla siły gwałtu, — stało się, że u nas tak prędko zmalała liczba wyznawców innych religji, a najniezawodniéj dla tego dziś „Polska jest więcéj katolicką niż Włochy, Francja i Hiszpanja — a Kraków — więcéj niżeli Rzym.“

Te słowa odbijały nam się o uszy przez kilkanaście lat pobytu za granicą, — oświadczali to nawet cudzoziemscy księża katoliccy w tych krajach, — a myśmy to jako fakt — do naszego przemawiający przekonania — sprawdzili.

Kto ze zacnych ludzi naszego duchowieństwa takim mężom nie sprostał lub nie umiał sprostać, — to przynajmniéj usiłował lub usiłuje jak najskrupulatniéj przestrzegać przynajmniéj pozory tych cnót, — co nawet wysoko cenić się powinno. Ale dzięki Bogu wielu jeszcze w naszym kraju takich jak powyżsi za mało głośnych kapłanów! Oni to dziś trzymają w szachu uczucia i myśli innowierców lub nieskrupulatnych współwyznawców i w tych umyśle jednają dla kościoła katolickiego ufność i poszanę. Jeżeli ta poszana gdzie niknie nawet w kółkach naszego katolickiego społeczeństwa, — to dla tego, — że tam nikną — kapłani.

Podobném pojęciem i poczuciem kapłańskiego stanowiska powinni się przejąć i redaktorzy pism mianowicie czasowych. Wtedy najniezawodniéj stałyby się one, że tak powiemy, czołem opinji publicznéj, a przynajmniéj najwidoczniejszym jéj: siłomierzem.

Dziś nadaremniebyśmy śledzili objawów opinji publicznéj po większéj części czasopism europejskich i amerykańskich, mianowicie polityczno-religijnych, dla bardzo

*) Pierwszy to i ostatni w tym rodzaju nieco tykający osoby artykuł polemiczny. Jego ton w obec pism skrajnych w nieprzyzwoitości, — posłuży za miarę toku innych późniejszych naszych występywań polemicznych.

prostéj przyczyny, — bo jak do miejsc sprofanowanych nie wchodzi ten co szanuje swą godność człowieczą i nie wchodzi tam dla téj przyczyny, że interesenci w tych miejscach częstokroć téj godności uszanować nie umieją, bo ją mało cenią lub cenić jéj nie chcą, tak i opinja publiczna dziś nie objawia się w dziennikarstwie, — bo w redakcjach takich pism nie góruje stanowisko kapłańskie objektywne, ale: albo interes czasowy przemijających stronnictw lub partji ze sobą we walce, albo, co gorsza, czysto osobisty zysk redakcji.

Co do walki jest ona bolesną i smutną, — ale konieczną i donośną. Po niéj znowu nastąpi pokój na czas niejaki, w którym utrwalone mianowicie religijne zasady chrześcijańskie dodadzą życiu społecznemu jeszcze żywszéj świetności — bo wprowadzą w szersze wykonanie czyli zastósowanie do życia — dziś w teorji tylko uznane i w czczych słowach żyjące prawdy Chrystusowe. Po téj walce — mogą i dzienniki stać się wyrazem opinji publicznéj — jak to bywa w chwilach pokoju.

Co do sobkowskich spekulacji — te nas nie tyczą wcale.

Pod tytułem „Królowa opinja“ napisał szanowny profesor hr. Stanisław Tarnowski obszerny, pełen ognia i szlachetnego oburzenia artykuł na dziennikarstwo europejskie, a w szczególności na lwowskiego — rzeczywiście opłakania godne — wybryki. Artykuł ten powtórzył „Przegląd lwowski“, a częściowo i „Kurjer Poznański.“ Zdaje nam się atoli, że téj, może za wiele cenionéj choć pięknéj co do formy fantazji o opinji publicznéj, brakuje podstawy naukowéj t. j. prawdy. Autor bowiem wziąwszy pozór za rzeczywistość, według naszego przekonania, mylnie twierdzi że: „Opinja publiczna dziś jest spodloną tém bardziéj, że upokorzenia swego nie czuje, a jéj nikczemnym faworytem jest dziennikarstwo europejskie, któremu z posłuszną uległością powodować się daje.“ I ubolewa nad upadkiem majestatu: Opinji publicznéj!

Nie! Opinja publiczna nie postradała i nie postrada, — bo postradać nie może, — swego majestatu!

Nie! dziennikarstwo dziś nie jest jéj faworytem i jemu się ona na pewno powodować nie daje!

Sprawami narodów nie ludzie rządzą, — ale Ten, który je z nicości wywołał. Objawem tych jego nadziemskich praw, ich wyrazem ludzkim jest: Opinja publiczna. „Głos narodu jest głosem Boga“, orzeka przysłowie.

Alež pisma czasowe europejskie, z małemi wyjątkami, dziś nie są „wyrazem, głosem narodów“, lecz, jakeśmy powiedzieli, głosem czasowych interesów lub stronnictw czasowych we walce ze sobą.

Opinja publiczna rządzi dziś tak potężnie jak dawniéj i rządzić ludzkością dla tego przestać nie może, że nie jest ona dziełem ludzkiém. Nie obrała sobie gazet za organa, — choć i tam liczne po tych pismach są jéj ślady. Opinji publicznéj zwykłém siedliskiem było, jest i będą nie jakieś codzienne pisma, które od niedawna dopiéro weszły w użycie, ale święty znicz rodzin obywatelskich i uczucie w ludziach wszelkich stanów, czujących w sobie godność kapłańską. — Objawia się opinja publiczna żywem słowem w naukach dawanych swym najbliższym w życiu rodzinném przez ludzi cnotliwych i światłych, oraz w takichże towarzystwach i stowarzyszeniach, — a nareszcie w ludzkości testamentowych dziełach: naukowych, literackich i sztuk pięknych, t. j nie znikomych, dla chwilowego interesu, ale przechodzących do potomności jako spuścizna cywilizacji, wiekopomnych dla tego, że nie poniewierają one godnością człowieka, lecz owszém unoszą ją po nad wirem walk czasowych i po nad towarzyszącymi każdéj walce — zaślepieniom i krzywdom, skutkom naturalnym cierpienia i niecierpliwości ludzkiéj, uczuwanych obustronnie przez szermierzów. Że dziś poubierały się pisma perjodyczne, te sztandary wichrzących interesów w pozory opinji publicznéj, że radeby ją miały za sobą i czynią co mogą żeby za wyrazy opinji publicznéj uchodzić, — to bynajmniéj téj bozkiéj potędze nie szkodzi, owszém uwydatnia tylko jéj byt i uznanie. „O nie! aktor nie Cezarem, choć Cezara bierze postać!...“

Po aktorsku, mianowicie przez szermierzy ze złą wiarą odgrywana ta rola opinji publicznéj tak się różni od niéj saméj, jak się różni każdy pozór, każda sztuka od rzeczywistości. Zresztą, z natury rzeczy wypływa, że rola ta odegrywaną być musi — niezręcznie, bo ani w tych aktorach, ani w interesentach nawet z dobrą wiarą, dla których korzyści te role płatni ich aktorzy odgrywają, — nie mają ani czasu, ani miru, ani sposobności znać opinji publicznéj, — ale każdy kto ma Boga w sercu, każdy kto poczuwa to kapłaństwo, o którém była mowa, jeżeli nie walczy sam ale śledzi walkę, — a tych zdania i sądy są natenczas wyrazem, ciałem opinji publicznéj, — ci ani na chwilę się nie omylą, tych ani ta niesmaczna aktorska scena, ani obawa szermierzów, żeby nie uledz: bynajmniéj nie łudzi, nie przestrasza, ani nie niepokoi. Zaślepić ona chwilowo może tych tylko, co albo wciągnieni we wir walki nie mogą jasno widzieć jak rzeczy stoją, albo tych nieuczciwych, co radziby obałamucili innych i pragną nadaremnie zwycięztwa lub tegoż pozorem się łudzą. A że: czy to złéj czy dobréj wiary, wszyscy ludzie boją się opinji i na nią się oglądają, nie dziwota, że pierwsi jak tylko mogą maskują się jéj pozorami. To właśnie jest jawnym dowodem, że ta potęga istnieje. Każdy z trzeźwo widzących pod przybranym blichtrem wydatnie wartość szermierza rozpoznaje, — a o krzykach ludzi złéj wiary częstokroć zbyt głośnych a podszywających się pod urok opinji publicznéj, każdy cnotliwy i światły pomyśli sobie w duszy: „że ten dzwon dla tego głośny — bo wewnątrz jest próżnym.“

Mamy to przekonanie, że jedynie opinja publiczna jest tą potęgą, którą uznają i wedle niéj się kierują tak dobrze polityka, jak wszystkie nauki społeczne. Ona to stoi na straży praw narodu, — ona tylko nadaje ludziom cześć, gdy inne siły nadają tylko honor. Ktokolwiek jéj niechętny, lub chełpi się nad nią pozorowym nibyto tryumfem, to lubo zewnętrznie może fanfaronować jéj małocenieniem, w duszy atoli odzywa mu się sumienie i przed sobą z upokorzeniem wyznać musi: „Nie! opinji publicznéj nikt z ludzi i niczém nie zmieni, nie pokona, nie skrzywi, nie przekupi i nią nie zawłada!“ Tak my widzimy i czujemy opinję publiczną — i radzibyśmy uspokoić zestrachanych jéj upadkiem przez fałszywy alarm Szan. Profesora.

Teraz przystąpmy do rzeczy.

Dotąd, o ile nam wiadomém, z publicznych pism żadne nie zaczepiło naszego — krom „Przeglądu lwowskiego“, redagowanego przez młodego księdza, katolickiego da Bóg, przyszłego kapłana polskiego. Zaczepiono nas następnemi wyrazami (Zeszyt II lutowy 1874, str. 136):

„Tygodnik Wielkopolski wychodzący w Poznaniu, z nowym rokiem zmienił znów redakcję. Już to przyznać mu należy niesłychaną zręczność w sztuce wywijania koziełków. Od czasu do czasu zmienia redaktorów, różnym powierza się w kurację, ale to wszystko suchotnika uzdrowić nie może. Otóż pan hrabia Chotomski obiecuje teraz wlać weń nowe życie. Ale cóż kiedy metoda jego leczenia, jakiéj się trzymać przyrzeka, zdradza nieznajomość medycznéj sztuki. Słyszał kto bowiem, aby choremu zadawano naraz wprost przeciwne sobie w skutkach apteczne ingredjencje. A pan hrabia Chotomski tak leczyć myśli, przyrzekając, że Tygodnik Wielkopolski stanie się gospodą dla ludzi różnych zasad.

Biedny Tygodnik przerodzi się w pismo nijakiego

rodzaju. Na wschodzie co prawda cieszą się powodzeniem potworne eunuchy!“

Dziękujemy Szanownéj Redakcji, że nam podała sposobność wyjaśnienia naszego stanowiska, jakie zamierzamy zająć na przyszłość w polemice, — bo téj na naszém polu zupełnie nam uniknąć nie można i nie wolno.

Z tego cośmy powyrzéj orzekli o kapłanach i o opinji publicznéj podwójnie bolesném nam było, że namaszczony na kapłaństwo religijne rodak i redaktor wystąpił: tak z lekceważeniem wobec publiczności, bo nie z godnością, a co gorzéj, z wątpliwą może-prawdą; — w obec pisma publicznego, które szuka najużyteczniejszéj drogi w służbie społecznéj, nie z radą lub wskazówką o jakie prosiliśmy, — ale z poniewierającą powierzchownością i rubasznością; — a w obec redaktora nie po chrześcijańsku, bo z pogardliwą ironją.

Jakim był Tygodnik, był bardzo dobry dla tych, którzy go do ostatka popierali. Szanujemy przekonania tych abonentów, którzy na wieść zmiany kierunku odpadli lub nowéj redakcji z téj zmiany żal oświadczyli. Ilość ich liczebna była atoli za szczupłą, a ich ofiarność za małą, żeby zasad swych chorągiew podtrzymać. Obecnie z opuszczonego stanowiska korzystając, wprowadzamy się — niby inny lokator — do wygodnego nam, dawnego gmachu i urządzamy się według środków i celów, jakie nam się widzą za najlepsze. Obecnie do naszego lokalu przychodzą i inni goście i już liczniejsi nieco — po czwartym dopiero numerze. Z tego wnioskujemy, że stajemy się odpowiedniejszymi potrzebom umysłowym z n a c z n i e j s z é j liczbie czytelników a według naszego pojęcia służymy: opinji publicznéj. Może się i mylimy — ale takiém jest nasze przekonanie.

Koleżeńskie światło innych redakcji jest nam o tyle cenniejszém, o ile ważniejszym jest siły zbiorowéj moment (w mechaniczném znaczeniu) nad pojedyńczych osób zdanie, zwłaszcza że przypuszczamy, iż naszych czasopism redakcje służą w znacznéj części i są wyrazem opinji publicznéj. Dla tego radzibyśmy wiedzieli — na jakich podstawach ten sąd redakcji „Przeglądu lwowskiego“ oparty — i daliśmy mu, acz niechętnie, wyjątkową gospodę, przez wzgląd dla czytelników nie mających tego czasopisma pod ręką. Ale wyraźnie wypraszamy sobie, ażeby nas nikt nie częstował dyalektyką czerpaną ze wzorów wiedeńskiéj „Neue freie Presse“ lub téjże pokrewną formą karczemną „à la Venillot“; tego straszliwego dzieciaka w łonie kościoła katolickiego, — bo te sposoby ubliżają godności kapłańskiéj, nie przekonają nikogo, drażnią i Bogu dzięki, że jeszcze mniejszém w kraju naszym „cieszą się powodzeniem“, niż „potworne“ i t. d. Na takiego cudzoziemskiego kroju pociski, — przodków naszych zwyczajem odpowiemy milczeniem — nie pogardy, bo téj dla słabości bliźnich nie mamy, — ale milczeniem wstydu... że nie czują w sobie bozkiego tchnienia.

Uczciwie podanym, choćby jak najwięcéj gorzkim prawdom — damy z całéj duszy serdeczną w naszych łamach gościnność. Doprawdy przykro nam, że jakiś S t u d e n t z P r z e m y ś l a zawstydził redakcję, — bośmy mu w Skrzynce w przeszłym numerze serdecznie podziękowali za jego uczciwie nam podane wskazówki i rady, — gdy nie możemy tego uczynić — Redakcji Pisma Katolickiego...

Dziwnie, że wydrukowała redakcja w tym samym numerze to zdanie: „a człowiek r o z t r o p n y wie:

. . . . . jak jest niebezpiecznie,
Z dziennikarzami nie być dosyć grzecznie.“

Moglibyśmy wystawić na dokuczliwy śmiech redakcję „Przeglądu lwowskiego“, wyzyskując dowcipem bardzo łatwe do tryumfu pole podane nam choćby tylko przez charakter k a p ł o n i. Tego nie uczynim przez wzgląd na naszą godność i na wymienione nazwiska kapłanów, którzy tę samą nosili sukienkę co i ksiądz redaktor...

Niech Szan. Redakcja nam jako starszymu koledze wierzy, że k t o w g n i e w l u b s a r k a z m p o p a d a, t e m u z p o d s t ó p u s u w a s i ę p r a w d a, t e n s t a n ą ł n a f a ł s z u; m i o t a n i e m zaś o b e l ż y w y c h i n i e p r z y z w o i t y c h w y r a z ó w, u ż y w a j ą c y j e t y l k o u d o w a d n i a: ż e j u ż s a m w y c z e r p a ł c a ł y s w ó j z a p a s p o t ę g i, w i e d z y, s ł u s z n o ś c i i r o z t ą d k u. Prawda, jak każda wielka siła, idzie spokojsie, poważnie, niby lokomotywa i nie marnuje swego zasobu w czczém miotaniu się.

Pięknie też powiedział Z u n z, filozof, żyd z wyznania: „Prawda ma tyle w sobie potęgi, że pokona każdy fałsz, podstęp i każdą przemoc zwierzęcą, a nie potrzebuje używać do zwycięztwa ani fałszu, ani podstępu, ani bydlęcéj siły.“

Idźmyż tedy szczerze, każdy swoją drogą dążąc do ulżenia niedoli bliźnim, a rozpocznijmy tę pracę od uszlachetniania przedewszystkiém samych siebie! Idźmyż pod wspólném hasłem naczelném, pod jakiém sam „Przegląd lwowski“ iść przyobiecał i przyobiecuje t. j. „Wiarą a prawdą!“ (fide ac veritate) a nie będziemy ani sobie wzajemnie, ani nikomu wśród uczciwéj pracy zawadzali, i Bóg przez opinję publiczną pobłogosławi naszym pismom.

Redakcja.

Narodowe ogniwo wschodu Azji i Egiptu z południową i centralną Europą.

We Wiedniu ukaże się najpóźniéj do 1 kwietnia pierwszy numer D z i e n n i k a po f r a n c u z k u p i s a n e g o, mającego ogarniać wszelkie interesa: narodów Europy w połączeniu z narodami Turcji i Egiptu!

Nadesłano naszéj redakcji program i dwa sprawozdania, wykazujące nietylko jak daleko postąpiło wprowadzenie w życie tego bardzo donośnego zamiaru, — ale i jak go przyjęto w Grecji, Turcji, Serbji, Wołoszczyznie, a poszczególowo w Galicji, od nas zaś zażądano, ażebyśmy oświadczyli nasze zdanie o p o t r z e b i e takiego codziennego pisma.

Czynimy to z naszego stanowiska, naturalnie wyłącznie naukowo-literacko-artystycznego,

że w Galicji przyrzekli go popierać słowem i czynem tacy ludzie naukowi i literaci jak dla nas najważniejsi: Dr. Józef M a j e r, prezes c. k. akademji krakowskiéj, rektorzy i profesorzy uniwersytetu jagiellońskiego, Dr. Józef K r e m e r, Dr. D i e t l, prezydent Krakowa, prof. Józef S z u j s k i, J. I. K r a s z e w s k i, Dr. Ferdynand W e i g e l, innych nie wymieniając;

że nie pomija we wytkniętych sobie kierunkach: archeologji, etnologji, nauk przyrodzonych, — ani literatury i sztuk pięknych, ale owszém chce we feljetonach, mianowicie w tłómaczeniu francuzkiém ogłaszać najznakomitsze prace narodowe obranego sobie zakresu;

że obrał sobie właśnie z trzech części świata te nierozłączne, które od wieków cywilizacja zawsze łączyła, a i dziś do tego stopnia interesuje, że rządy jak: angielski, rosyjski, niemieckie, francuzki i włoski wysyłali i wysyłają tamże swych najznakomitszych uczonych, opatrując ich hojnie we wszelkie środki do badań *);

*) Nadmienimy tu na chybi trafi tylko nazwiska: M o u n s a y, L e j e a n, angielski komitet exploracyjny Palestyny, dr. Ka-

Przeto z całego serca życzyć możemy, ażeby Redaktor Bronisław Wołowski znajdywał i u nas jak najwięcéj stanowczego poparcia, którémby zdołał przeważyć europejskich narodów interes na badanie i naszego kraju, w którym n. p. Karpaty mniéj są znane, niż góry Chartum'i Dar Fertit.

Redakcja.

ról Müller, F. Kanitz, dr. G. Radde, dr. Siewers, Wojejkow, dr. F. v. Hochstaetter, Texier, Iwaszyńcow, Stephan, Issel, Czirikow, Stebnicki, Gersewanjew, Pfaff, Palmer, Le Bas, Lesseps i t. p.

ROZMAITOŚCI.

— Włodzimierz Wolski pisze nam: „Natrafiłem w Amsterdamie na polską książkę z XVII stulecia: „**Sekreta białogłowskie**", drukowaną w drukarni polskiéj w Amsterdamie pod „Orłem białym." Jest to przekład dzieła Albertusa Wielkiego, stek niedorzeczności astrologiczno-chemiczno-medyczny, — ale w każdym razie rzadkość. Arjanie Polscy (Antitrinitarii) wygnani z kraju za Władysława IV, schronili się najliczniéj w Holandii i tam założyli drukarnię polską, w któréj mnóstwo pism drukowali.

Przedstawiają Halkę u was. Mniejsza o to, że mi nie przysyłają tantjem, z których należy się spadkobiercom Moniuszki i mnie, — jak to się odbywa w ucywilizowanych krajach. Teatr wasz początkujący, — zkądbym u licha miał z mojemi pretensjami występować? Dziwię się jednak czemu nie przedstawiają mojéj: Hrabiny, także z muzyką Moniuszki, opery wesołéj, stokroć łatwiejszéj do przedstawienia."

* * *

— W New York 43 Chatam Street w Ameryce wychodzi od Nowego Roku tygodniowa: „**Gazeta Nowo-Yorkska**" po polsku. Lubo jest polityczném treści, wspominamy o niéj, bo ma odcinek literacki: Sierota, powieść z życia amerykańskiego przez Ottona Ruppius — i zamieszcza rozmaitości ku zabawie umysłowéj. Z anonsów dowiadujemy się o drukarni polskiéj, o takiéjże księgarni braci Bensiger, — a zastanowiło nas ogłoszenie p. Rubin, który sprzedaje na wypłaty tygodniowe z gwarancją umówioną: towary bławatne na ubiory męzkie i żeńskie, oraz meble, dywany i bižuterje. Wydawcą i właścicielem tego pisma jest Dr. med. Żołnowski, redaktorem Juljan Horain.

Skrzynka do listów.

W odpowiedzi na pytanie 2) w Skrzynce do listów Nr. 3 Tygodnika Wielkopolskiego: „Post sobotni od kiedy i dla czego ustanowiono w Polsce?" otrzymujemy taką odpowiedź:

Nie wiem, Szanowny Redaktorze! czyś sam z własnéj głowy to pytanie stawił, ale to wiem, że wpierw trzeba dać odpowiedź na pytanie. „Od kiedy i dla czego post sobotni ustanowiono w kościele katolickim?" a wtedy już pytanie postawione przez Ciebie będzie rozwiązane.

Zdaje się bowiem, że pytający jest w błędném mniemaniu, jakobyśmy tylko my Polacy do tego postu byli nękani, podczas gdy inne narody rozkoszują się w dni sobotnie zajadając befsteaki i t. p. Pociesz się więc przedewszystkiém tém, że na całym katolickim świecie post sobotni zachowują katolicy.

Post sobotni zaprowadzono w kościele katolickim już w drugim wieku, a to przedewszystkiém tym końcem, aby chrześcijan, którzy z Żydów się nawrócili do wiary Chrystusowéj, odzwyczaić od święcenia sabbatu. Mianowicie zaś dla tego, aby się przez post sobotni na dzień następny, zwany „dniem pańskim" (dominika, κυριακή) przygotować, tém więcéj, że pierwsi chrześcijanie przystępowali na tym dniu wszyscy do Stołu Pańskiego. Nazywał się ten post: „superpositio jejunii", albo też tylko: superpositio." Tak pisze o tém Wiktorynus, biskup w Pelavio w Panonii, co można czytać Galland bibl. T. IV. albo Roulh. reliquiae sacrae III. p. 237. — Koncylium Illiberit. can 26 przepisuje: „Errorem placuit corrigi, ut omni sabbati di superpositiones celebremus." (Zob. Mausi T. II. p. 10, albo Harduin T. I. p. 253).

Oprócz soboty pościli jeszcze pierwsi chrześcijanie w środy i piątki i zwano te dni „dies stationum" a pościli tak ściśle, że do wieczoru nic w usta nie brali, nawet wody nie pili, — jak n. p. w Acta Sanctorum Bolland. ad vocem, że kiedy św. Fruktusza, biskupa Tarrakony, na męczeństwo prowadzono i poganie sami, litując się nad nim, wody mu podawali, aby usta spieczone odwilżył, nie przyjął tego z téj przyczyny, że dzień ten był „dies stationum."

Mógłbyś mi atoli zarzucić Szan. Redaktorze, że teraz już racya, dla któréj post sobotni zaprowadzono, ustała, że więc można śmiało jeść, bez obawy, aby się nie okazać żydem; dla tego dodać jeszcze trzeba, że od r. 1000 poświęcił Kościół post sobotni na to, aby przezeń ubłagać przyczynę Najświętszéj Marji Panny. To też postu tego dotąd nikt nigdy nie zniósł w Kościele i tam gdzie Najświętsza Boga Rodzica doznaje szczególnéj czci i uwielbienia, tam też w miarę tego post ten zachowują.

Post sobotni zachowuje nadto kościół katolicki mimo to, że schizmatycki kościół uważa to za herezję. Rusini więc unici tém się właśnie różnią od prawosławnych, że w sobotę poszczą.

Z tego com wyżéj mówił wynika, że kiedy już Focjusz 867 i Cerularyusz zarzucali katolikom poszczenie sobotnie i za heretycki błąd to poczytywali, że więc i w Polsce kiedy zaprowadzono chrześcijaństwo (965), zaprowadzono też i ten post, który, jako jeden z punktów spornych, musiał być przedmiotem ścisłéj obserwacji. Niektórzy u nas pisali, że dopiero w skutek zabicia św. Stanisława przez Bolesława Śmiałego (1079) został na Polskę post sobotni nałożony — sam to jednakże z doświadczenia wiesz, Szan. Redaktorze, skoroś bawił czas dłuższy we Włoszech, że i tam w soboty poszczą, chociaż tam żaden król nie zabił św. Stanisława.

Sądzę, że na tém mogę poprzestać.

Przyjm Szan. Redaktorze itd.

Ks. L. c. **Chotkowski.**

Na zapytania 4go część jedną p. Stan. Smoleński z Krakowa nadesłał wywód, że jak Kopczyński chce: gramatyczniéj jest mówić ta planeta, kometa, gdyż po za temi wyrazami natury pierwiastkowo przymiotnikowéj (od κομαω i πλαναω) domyślamy się wyrazu gwiazda; jeżelibyśmy nadali formie męzkiéj, używaréj przez piewszorzędnych pisarzy obywatelstwo, byłoby to wyjątkiem, nie regułą.

Prosząc p. Stan. Smol. o wybór z ofiarowanych dziełek, — pozostawiamy jeszcze do odpowiedzi: czy ta czy ten kartofel?

6) Zapytanie: Czy słusznem jest wyrzucenie litery æ z pisowni polskiéj?

— P. S. L. w Poznaniu. Tak: gwiazda jest wyrazem zagadki z Nr. 2.

p. T. z P...: „Obraz Syberji" już sprzedany — do „Fenelona" dołączamy katalog.

— p. A. S...: Żądane dzieła już wyczerpane.

— p. St. Pl... w Berlinie: Za nadesłaną książkę należy się nam 5 sgr. 4 fen. — Nie wzięliśmy zaliczki pocztowéj ze względu na wygórowaną opłatę pocztową, która wynosi 6 sgr. od każdego talara.

Odpowiedzialny redaktor Franciszek Sadowski. — Nakładem E. Calliera. — Czcionkami drukarni L. Merzbacha.
Główny skład w Poznaniu w księgarni Tygodnika Wielkopolskiego i u M. Leitgebera.